Dodatek do Nr. 36 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 18. Sobota, dnia 5-go Września. Rok 1908

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XV.
Szlachetny czyn.

Była blizka czwarta, kiedy nadszedł nareszcie rozkaz, wzywający żuawów do posunięcia się ku Fröschwiller i zajęcia małej leśnej polanki na drodze do Bruderbach. Ruch ten miał na celu osłonienie odwrotu cofającej się armii. Czterdziesto-tysięczny korpus francuski, naciskany gwałtownie przez sto-pięćdziesięcio-tysięczną armię pruską, cofał się pośpiesznie, i jedyną jego linią odwrotu była droga na Bruderbach i Reischoffen. Bronić tej jedynej drogi, nie pozwolić jej zająć, utrudnić pochód Prusaków i wstrzymać ich na pewien czas — miało być właśnie zadaniem żuawów.

Wydano rozkazy. Pułk w kolumnach atakujących posunął się naprzód. W szeregach domyślano się o co chodzi i na wszystkich twarzach znać było silne wzruszenie. Niebawem wydostano się z lasu. Na widok wysuwających się kolum francuskich, nieprzyjaciel otworzył morderczy ogień działowy i zasypał żuawów kartaczami. Pułk topniał z każdą chwilą. Zabrzmiała komenda: zmieniono szyk i rozwiniętym frontem posuwano się dalej. Wtem nadbiega generał Ducrot.

— Daj mi pan dwie kompanie żuawów! — woła do pułkownika — muszę osłonić wzgórza dominujące nad Reischoffen.

Pułkownik oddziela dwie kompanie z pierwszego batalionu. Generał rusza z miejsca galopem. Żuawi podążają za nim. Wyglądają wspaniale! Idą, jak burza: jeżeli dojdą, nic im się oprzeć nie zdoła. Promienie letniego słońca łamią się wich bagnetach, barwne uniformy odbijają jaskrawo od ciemnego tła okolicy, bieleją turbany; zczerniałe surowe twarze zdają się urągać przeszywającym powietrze kulom i ziejącym śmiercią granatom. Przebiegają pędem przez równinę, wdzierają sie na wzgórze i otaczaja generała.

— Moje dzieci — woła mężny generał Ducrot — to wzgórze, to klucz pozycyi. Możecie się dać wybić co do nogi, ale nie wolno jej opuścić.

I pochyliwszy się na szyję konia, znika w obłokach dymu.

— Czy masz jeszcze ładunki? — spytał Bussard, stojąc obok Izydora.

— Mam.

— No, to staraj się ich nie zmarnować. Musimy ocalić tę resztę, jaka pozostała z armii... Jeżeli przetną im drogę do Reischoffen, będzie rzeź, jakiej nikt z nas nie widział.

I stary wiarus nabił starannie karabin.

Tymczasem dowódca batalionu, Bertrand, rozdzielił swoich ludzi i wydał rozkazy kapitanom Collet i Noellat. Twarze oficerów spoważniały, gdyż odpowiedzialność ich zwiększyła się wskutek nieobecności pułkownika. Nie myśleli o sobie, lecz o żołnierzach powierzonych ich pieczy, których należało oszczędzać i nie tracić bezużytecznie. Wypełnić obowiązek — oto co można było czytać na ich twarzach i w oczach dowódcy, liczącego pozostałych przy życiu żuawów.

Nagle szary tuman kurzu podnosi się na drodze: to kawalerya. Dwa szwadrony pruskie chcą zająć drogę, prowadzącą do Reichsoffen.

— Broń w pogotowiu! — komenderuje podpułkownik Bertrand.

Z tumanu wyłaniają się łby końskie i postacie kawalerzystów.

— Ognia!...

Huknęły strzały, kilkadziesiąt koni pada na ziemię, przygniatając jeźdźców swym ciężarem. Reszta idzie w rozsypkę. Wielu rannych pozostaje na placu, a spłoszone rumaki bez jeźdźców rozbiegają się na wszystkie strony.

Oficerowie niemieccy chcą po raz drugi poprowadzić szwadrony do ataku. Szeregi formują się na nowo, słychać słowa komendy:

— Vorwärts! — i cała masa jazdy rzuca się na żuawów.

Ci z zimną krwią oczekują, aż kawalerya zbliży się na odległość strzału.

— Ognia!...

Tym razem Prusacy zdziesiątkowani, pierzchają w nieładzie, nie kusząc się więcej o zdobycie przejścia, strzeżonego przez tę garstkę walecznych.

— A co, chłopcze, czy widziałeś, jak drapnęli z pola? — zaśmiał się Bussard.

— Tak, sierżancie, to ciekawe... te konie... Ach, jakiż jestem spragniony!

— Masz, napij się: nie za wiele! to mocne.

I podał Izydorowi manierkę.

Chłopiec pociągnął kilka łyków, lecz to go nie orzeźwiło. Zadawał sobie pytanie: jak się ten dzień skończy? i po raz pierwszy od wstąpienia do pułku przeszło mu przez myśl, że może nie zobaczyć Domu Inwalidów, swego starego przyjaciela i Meli. Prawdopodobnie było to skutkiem głodu i przebytych trudów, gdyż mniej dziś narażony był na niebezpieczeństwo, niż dnia poprzedniego. Żuawi znajdowali się na wysokości, gdzie tylko artylerya mogła ich dosięgnąć, ale cóż dalej?...

— Uważaj, dudku! — huknął mu nagle nad uchem stary Bussard. — Nie czas spać teraz! Do kroćset! oto nowa baterya, która ma zamiar opanować drogę... Ale nic z tego!...

Wistocie artylerya nieprzyjacielska nadbiegła galopem, usiłując zająć sąsiednie wzgórza, skąd mogłaby razić kartaczowym ogniem cofające się w jednej zbitej masie resztki armii francuskiej. Ale żuawi przeszkodzili temu: dobrze skierowany ogień karabinowy pozbawił wkrótce Prusaków prawie wszystkich koni i więcej niż połowy kanonierów.

Tymczasem zbliżały się główne siły niemieckie; należało opuścić pozycyę, której dwie kompanie żuawów nie mogły przecież utrzymać wobec całej armii. Ich zadanie zostało spełnione: droga do Reichsoffen była wolną, i nieprzyjaciel nie mógł przeszkodzić odwrotowi.

Zaledwie podpułkownik Bertrand wyprowadził swych ludzi na drogę, kiedy jedno z dział nieprzyjacielskich, zaprzężone w silne meklemburskie konie, zajęło opuszczone stanowisko, i wziąwszy na cel cofających się żuawów, zasypało ich granatami.

— Ach! — usłyszał Izydor za sobą, i obejrzawszy się, ujrzał dowódcę batalionu, Bertranda, ugodzonego odłamkiem granatu i padającego nawznak z rozkrzyżowanemi rękoma. W szeregach dało się uczuć pewne zamieszanie, przerażeni wielką liczbą padających, żuawi instynktownie przyśpieszali kroku. Lecz Izydor powraca i wśród gradu kul unosi umierającego oficera. W tej chwili nadbiega kapitan Collet.

— To szlachetnie z twojej strony, chłopcze, — mówi do Izydora. — Wątpię, czy żyje, lecz nie powinniśmy zostawiać wodza naszego Prusakom.

Trzech ludzi umieściło dowódcę Bertranda na noszach ze skrzyżowanych karabinów, i niesiono go na nich aż do spotkania pierwszego wozu ambulansowego.

Izydor nie czuł już zmęczenia, a wściekłość pozbawiła go przytomności. Co chwila odwracał się, strzelając do dziesiątkującej ich artyleryi i niejednokrotnie musiano go nawoływać, by nie pozostawał w tyle.

— Nieprzyjaciele! — krzyczał, wygrażając karabinem. — Gdybym was dostał w ręce!

Lecz odwrót był rozpoczęty, i kapitan sformował nanowo swych ludzi.

— Jestem z ciebie zadowolony, — rzekł, przechodząc koło Izydora, — biłeś się jak stary wiarus.

Granaty i kartacze szerzyły tymczasem coraz większe spustoszenie w cofających się szeregach. Sierżant Bussard miał strzaskane ramię i był zmuszony oprzeć się na Izydorze; krew, płynąc z rany, znaczyła za nim ślad czerwony.

— Nie mogę iść dalej... w głowie mi się kręci, — rzekł słabym głosem — a nie chcę być ograbiony przez nikogo. Weź mój zegarek i sakiewkę; oddasz mi je, jeżeli dostanę się do ambulansu, jeśli nie, zatrzymasz dla siebie.

— Odwagi, sierżancie, — odparł Izydor, podtrzymując go silniej.

Lecz ranny stąpał z trudnością, ciężąc coraz bardziej na ramieniu młodzieńca.

Izydor przystanął, ażeby wystrzelić, a stary żuaw, na chwilę pozbawiony podpory, bezwładnie osunął się na ziemię.

Co tu począć? Serce biednego chłopca ścisnęło się na myśl opuszczenia tego, który pierwszy zajął się nim życzliwie po przybyciu do pułku. Jeżeli zostawi go na drodze, krew ujdzie z pewnością z nieprzewiązanej rany, lub stratuje go postępująca za nimi kawalerya...

Nagle daje się słyszeć tętent konia, który zbliża się, pędząc bez jeźdźca. Wlokące się cugle utrudniają jego ruchy... Izydorowi błyska myśl szczęśliwa: chwyta za uzdę i zatrzymuje rumaka.

Stary wiarus był lubiany. Żołnierze z pośpiechem umieszczają go na koniu, a Izydor przywiązuje własnym pasem, gdyż ranny już nie może utrzymać się o własnej sile.

Niebawem ukazały się wzgórza Niederbronn. Kapitan Collet w tę stronę skierował znużony oddział, który znalazł tu wkrótce bezpieczne schronienie.

Zabrzmiało upragnione przez wszystkich:

— Stój!

Izydor uwalnia Bussarda z krępujących go więzów i ostrożnie składa na ziemi.

— Jakże się czujesz, sierżancie? — pyta troskliwie.

— Koniec, mój chłopcze. Mam strzaskane ramię, a w moim wieku to śmierć.

— Zobaczymy.

I kiedy inni rzucają się na trawę, on, przyklęknąwszy, odpina mundur towarzysza. Straszliwa rana! Kość potrzaskana w kawałki, poszarpane mięśnie; krew płynie. Izydor wyrywa rękaw od koszuli, robi bandaż i przywiązuje go pasem. Żuawi otaczają go w milczeniu. Chirurga niema, a takby tu był potrzebny! Prawdopodobnie udał się do sąsiedniej wioski, gdzie urządzono szpital. Jeżeli teraz Prusacy zjawia się znienacka, biedny Bussard wpadnie w ich ręce.

Młody żuaw, upatrując pożądanego furgonu, usiadł na ziemi obok przyjaciela.

XVI.
Pierwszy awans.

Kapitan tymczasem zadawał sobie pytanie, czy postąpił rozsądnie, opuszczając obronną pozycyę. Żołnierze wyczerpani zupełnie siedzili na ziemi, nie wypuszczając z rąk broni, gotowi jej użyć na pierwsze wezwanie Głód zaczynał im dawać się we znaki. Dzień był ciężki; ranni, którzy nie pozostali

na drodze, leżeli bez opatrunku. Czyż tak noc mają przepędzić?

W wieczornej mgle coraz wyraźniej widać zbliżające się kolumny. Żuawi zrywają się na nogi. To Francuzi; dywizya Gujot de Lespare przybyła ich zastąpić.

— W porę! — rzekł kapitan do jednego z oficerów. — 5-ty korpus nie brał udziału w bitwie, a moi żuawi gwałtownie potrzebują odpoczynku.

W istocie piechota liniowa zajmuje wzgórze, a oficerowie zbliżają się do kapitana Collet.

— Źle! — powtarzają. — Linia złamana w drugiem miejscu!

Kapitan odpowiada gestem zniechęcenia i rozpaczy.

— Straciliśmy dowódcę — mówi, odzyskując krew zimną. — Batalion silnie ucierpiał. Czy macie z sobą doktora?

— A jakże. Oto nadjeżdża.

— Majorze! jesteś tu potrzebny!

Doktor zsiada z konia i bierze swoją szkatułkę.

— Opatrz pan przedewszystkiem naszego instruktora — odzywa się kapitan. — Obawiam się o niego. Rannych jest wielu, a ilu ich tam pozostało!...

I wskazał ręką w kierunku przebytej drogi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Trębacz francuski.

(Z wojny francusko-niemieckiej.)

Piotr Labordin był trębaczem francuskiego 4 pułku strzelców w wojnie z prusakami i w podziw wprowadzał kolegów swoim humorem. Śmiał się nieustannie i sypał dowcipy, jak z rękawa. Często powtarzał, wskazując na trąbę:

— Ona wam marsz zwycięzki wyśpiewa.

Oczekując na chwilę tryumfu, wygrywał pobudki, alarmy i sygnały, czasem przypominał kolegom jaką piosenkę wiejską, wszystkie zaś tony jego trąbki dodawały sercom otuchy.

Tymczasem tryumf oddalał się od armii francuskiej z dniem każdym, stał się widmem, a po straszliwej bitwie pod Mars la Tour, rozwiał się zupełnie. W tej bitwie trębacz został raniony. Byłby zginął, gdyby nie ksiądz Murot, dobry, święty ksiądz Murot, który dał mu przytułek u siebie, chociaż w jego plebanii prusacy zaledwie mało co zostawili. Pielęgnował go i opatrywał, jak matka dziecko, a gorączkowe wybuchy rozpaczy uspokajał słowami św. Ewangelii.

— Księże proboszczu — majaczył Piotr — czy napradwę prusacy mają zwyciężyć? Czy Bóg nas opuścił? On dla Francyi zawsze był dobrym... Wszakże On, dla chwały Francyi, zesłał niegdyś Joannę d'Arc, a potem wielkiego Napoleona.

— Uspokój się dziecko moje... Bóg cuda czyni. Kampania nie skończona, któż przewidzieć może, co jutro przyniesie?...

— Ale zwyciężymy? Nieprawda, księże proboszczu?

— Zwyciężymy, dziecko moje, zwyciężymy — odpowiadał, tłumiąc łzy kapłan, który sam także gorąco prosił Boga o tryumf dla ukochanej Francyi.

Zdrowie trębacza coraz więcej pozostawiało do życzenia. Gasł w oczach. Zacny proboszcz, który go jak syna pokochał, trapił się tem wielce. Pewnego dnia w wiosce zjawili się prusacy. Na szczęście zajrzeli tylko do plebanii, a widząc biedę, kapitan rzekł ze śmiechem:

— Nasi tu już byli, nie mamy tu co popasać.

Jakoż tak się stało, że plebanię zostawili w spokoju, natomiast rozłożyli się tuż przed jej oknami.

— Co oni robią, proboszczu? czego chcą? — dopytywał się trębacz z nienawiścią.

— Cicho, dziecko moje, zachowajmy wszelką ostrożność! — rzekł proboszcz, kładąc palec na ustach.

— Prowadzą jakieś narady... Co zamierzają? nie wiem...

Kapitan i kilku oficerów, stojąc w pobliżu, rozprawiali głośno. Ks. Murkot nastawił ucha i po chwili zawołał:

— Boże! Oddział naszych rozłożył się obozem o kilkaset kroków stąd, za winnicą. Nic nie wiedzą o prusakach...

Trębacz z jękiem rzucił się na barłogu.

— Natychmiast trzeba ich zawiadomić — szepnął.

— Spróbuję — odparł ksiądz.

Okazało się to niemożebnem, plebania była otoczona ze wszystkich stron.

Nadeszła noc. Zdawało się, że wszystko już we śnie spoczywa, ale proboszcz i trębacz czuwali, także i prusacy czuwali.

— Co teraz robią? — zapytał Piotr.

— W tej chwili wyruszą — odparł ksiądz Murot drżącym głosem.

Jakoż odezwał się przytłumiony odgłos bębna, a następnie ostrożnego wymarszu.

— Boże! Boże! nasi niechybnie zginą! — narzekał, łamiąc ręce ksiądz Murot.

— Nie zginą, ks. proboszczu! — zawołał trębacz.

To rzekłszy, z wielkim wysiłkiem podniósł się z barłogu, otworzył okno, porwał trąbkę i przyłożył ją do ust.

Wśród nocnej ciszy zagrzmiał sygnał alarmowy, który się rozniósł daleko, niby odgłos legendowy rogu Rolanda. Zdumieli się prusacy i zatrwożyli. Skąd ten alarm? Cały ich zamysł przepadł. A trąbka brzmiała coraz donośniej, wołając:

— Strzeżcie się! Prusacy idą!...

Wreszcie kapitan pruski spostrzegł trębacza, rzucił się ku niemu z wściekłością, wydobył pistolet i strzelił. Kula przeszyła serce żołnierza — trębacz padł z okrzykiem:

— Niech żyje Francya!

Ale trąbka zrobiła swoje, francuzi usłyszeli alarm.

Do wrogów krzyża!

Kościół... Na wieży u szczytu
Lśniąc jak promienna pochodnia
Gore wśród ciszy błękitu
Krzyż, nasza gwiazda przewodnia!
W dole zaś, hańba ludzkości,
Tłuszcza odstępców złowroga

Bluźniąc znieważa świętości
Tu wobec krzyża i Boga!
Stójcie! Wy, żywi-umarli!
Krwawe pogaństwa upiory,
Coście się Boga zaparli.
Zrodzone z grzechów potwory!
Stójcie! Tu godło zbawienia!
Tu Chrystus jest ukrzyżowan!
Najwyższy szczyt poświęcenia
Gwoźdźmi do krzyża przykowan!
On, Bóg nasz, do serc kołata!
On Bóg nasz, otworzy serca!
Zbudzi w nich miłość dla brata,
W proch padnie wróg, przeniewierca!
Ród ludzki miłość odrodzi,
Dzień przyjdzie sprawiedliwości!
Noc pierzchnie... Oto już wschodzi
Słońce miłości!
Czemu brat-nędzarz wciąż łaknie,
Pod zbutwiałemi łachmany?...
Ach! Gdyż miłości nam braknie!
Gdyż Chrystus jest zapoznany!...
Gdyż krzyż, co lśni tam w błękicie,
A którym gardzi bluźnierca,
Nie wcielon w czyny, ni w życie,
Nie wniesion w serca!...
Pychę odrzućmy i zbytek,
Z braćmi podzielmy chleb święty!
By duch nasz, Boga przybytek,
Na ziemi żył — Wniebowzięty!
A wówczas dzień wybawienia
W bratniej zabłyśnie miłości
I zabrzmi hymn odrodzenia:
„Hosanna na wysokości!“

Ada Koneczna.

Sen dzieci w wieku szkolnym.

Dla rozwijającego się dopiero organizmu dziecka sen ma znaczenie nie mniejsze, niż prawidłowe i dostateczne odżywianie. Wiadomo każdemu, że po usilnej pracy mięśniowej śpi się dobrze; a dziecko dzięki swej ruchliwości, ciągłym figlom i skokom przez dzień cały dobrze się napracuje. To też ilość godzin snu dla dziecka większą być musi, niż dla człowieka dorosłego, chociaż naturalnie i tutaj liczba ta stałą nie jest, zmienia się bowiem w zależności od wieku dziecka i od ogólnego stanu zdrowia. W każdym razie liczba godzin snu dziecka nie powinna być mniejszą, niż 9, a może dochodzić nawet do 11, jeśli dziecko jest wogóle słabe, anemiczne.

Za zasadę przyjąć należy, aby dzieci kładły się spać wcześnie: między godziną 8 a 10, i wstawały też wcześnie: między godziną 6 a 7. Wczesne wstawanie z łóżka dla dzieci, uczęszczających do szkół, niezbędne jest w tym celu, aby dziecko miało dosyć czasu na dokładnie umycie się i staranne ubranie. Wobec tego jeżeli chcemy, aby dziecko przespało należną mu ilość godzin, musimy kłaść je spać również wcześnie, po wczesnej kolacyi na godzinę przed pójściem na spoczynek.

Mieszkanie przed snem powinno być doskonale wywietrzone, aby nie czuć było swędu i dymu; oczywiście nie powinno się już wtedy palić cygar ani papierosów. W porze letniej, jeśli tylko względy bezpieczeństwa pozwalają, dobrze jest trzymać okno przez całą noc otwarte. Hygiena wymaga, aby każde dziecko miało swoje własne łóżeczko, zasłane własną pościelą. Przedewszystkiem dziecko w oddzielnym łóżeczku może się ułożyć daleko wygodniej, nikt go bowiem nie spycha ani gniecie; następnie choroby zaraźliwe przy spaniu kilkorga dzieci, albo też dzieci z rodzicami razem, daleko łatwiej udzielają się zdrowym dzieciom od chorych; wreszcie sypianie kilkorga dzieci, szczególniej chłopców i dziewcząt, pod jedną kołdrą, nieraz wywiera na nie wpływ bardzo szkodliwy, rozwijając w nich przedwcześnie popęd płciowy. Niestety w rodzinach ubogich, a kilkorgiem dzieci obdarzonych, oddzielna pościel dla każdego dziecka jest uważana za zbytek, niema zresztą istotnie miejsca na tyle łóżeczek. W takich razach postarać się trzeba chociaż o to, aby każde dziecko posiadało własną swoją kołderkę; trzeba też w razie jakiejkolwiek choroby jednego dziecka natychmiast je od innych wraz z pościelą odłączyć.

Pościel nie powinna być zbyt miękka i rozparzająca, to też wszelkie pierzyny i piernaty dla dzieci nie są odpowiednie; przedewszystkiem zaś powinna być zupełnie czysta, często wietrzona i trzepana, nie zawierająca pasożytów, tj. wszy, pcheł i pluskiew. U niejednych, dzięki wrodzonemu im niedbalstwu i brakowi zamiłowania do czystości, łóżka i pościele pełne są szczególniej pluskiew; ludzie tak się z tem zżyli, że nie czują nawet, gdy wstrętne te pasożyty krew z nich wysysają. Ponieważ jednak dowiedzioną jest rzeczą, że niektóre choroby, jak np. tyfus powrotny, roznoszą się za pośrednictwem tych pasożytów, nie należy przeto traktować ich obojętnie. Szczególniej często wietrzyć należy pościel tych dzieci, które mają zwyczaj oddawania uryny pod siebie; takim dzieciom trzeba przypominać, aby oddały urynę przed pójściem do łóżka; dobrze jest nawet budzić je raz lub dwa razy w ciągu nocy i zachęcić do oddania uryny. Wieczorem dzieci takie nie powinny pijać dużo płynó...

Jak ludzie dorośli, tak i dzieci spać powinny tylko w koszulach nocnych, z luźnym kołnierzem i rękawami. Podczas snu krew od mózgu i innych wewnętrznych organów odpływa ku powierzchni ciała, nie należy przeto krępować go żadnemi ciasnemi sznurowaniami lub zapięciami, któreby na swobodną cyrkulacyę krwi nie pozwalały. Przed pójściem na spoczynek każde dziecko powinno umyć sobie ręce i wypłukać usta, dzieci zaś zamorusane, mające brudne nogi, powinny być dokładniej umyte, aby nie walały pościeli. Ubranie i bieliznę dzienną kłaść należy na stołku obok łóżka, nie na pościeli, albo pod poduszką. Od najwcześniejszego dzieciństwa przyzwyczajać należy dzieci do trzymania rąk na kołdrze, nie pod kołdrą. W ten sposób zapobiega się powstawaniu u dzieci zgubnych nałogów, które mogą stać się nieszczęściem w późniejszem ich życiu.